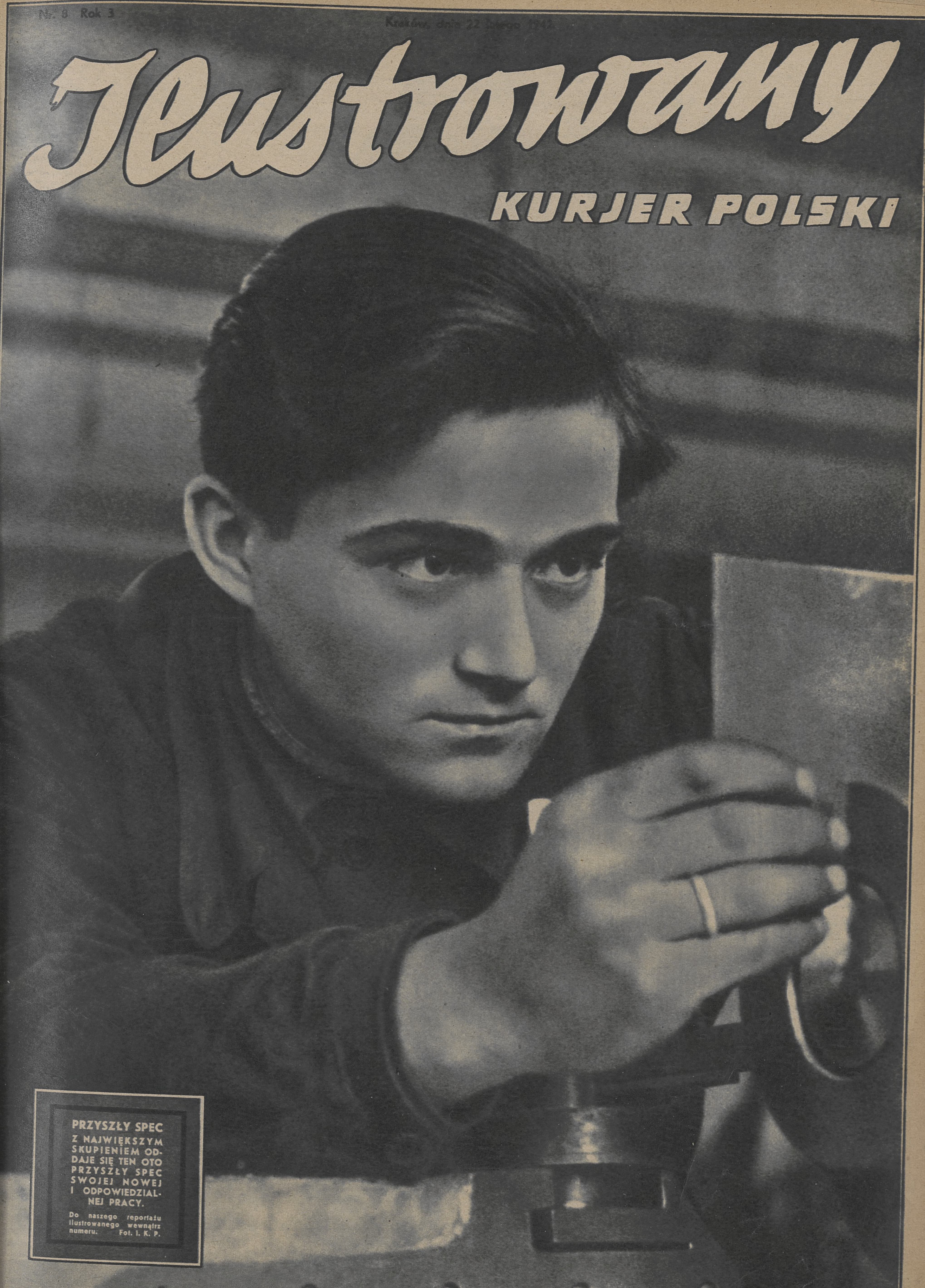
Nr. 8 Rok 3

Kraków, dnia 22 lutego 1942

Ilustrowany Kurjer Polski

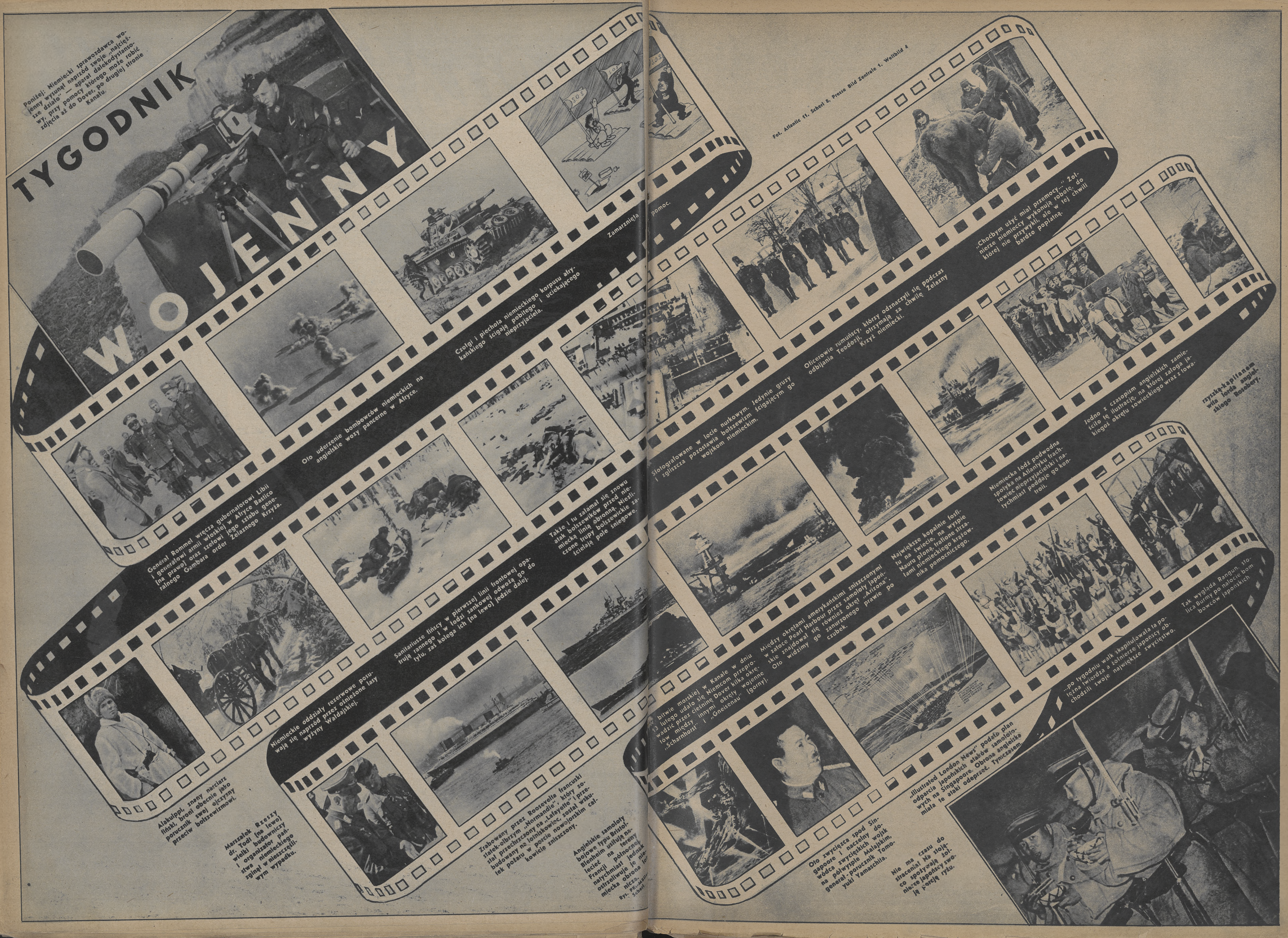


PRZYSZŁY SPEC

Z NAJWIĘKSZYM SKUPIENIEM ODDAJE SIĘ TEN OTO PRZYSZŁY SPEC SWOJEJ NOWEJ I ODPOWIEDZIALNEJ PRACY.

Do naszego reportażu ilustrowanego wewnątrz numeru. Fot. I. K. P.

TYGODNIK WOJENNY



Poniżej: Niemiecki sprawozdawca wojenny wysunął naprzód swoje „najcięższe działo" — aparat dalekodystansowy, przy pomocy którego może robić zdjęcia aż do Dover, po drugiej stronie Kanału.

Czołgi i piechota niemieckiego korpusu afrykańskiego ścigają pobitego i uciekającego nieprzyjaciela.

Zamarznięta pomoc.

Oto uderzenie bombowców niemieckich na angielskie wozy pancerne w Afryce.

Generał Rommel wręcza gubernatorowi Libii i generałowi armii włoskiej w Afryce Bastico (na prawo) oraz szefowi jego sztabu generalnego Gambara order Żelaznego Krzyża.

Także i tu załamał się znowu atak bolszewików przed niemiecką linią obronną. Niezliczone trupy bolszewickie zaściełają pole śniegowe.

Sanitariusze fińscy w pierwszej linii frontowej opatrują rannego i w łodzi sankowej odwożą go do tyłu, zaś kolega ich (na lewo) jedzie dalej.

Niemieckie oddziały rezerwowe posuwają się naprzód przez ośnieżone lasy wyżyny Wałdajskiej.

Alakulppi, znany narciarz fiński, broni obecnie jako porucznik swej ojczyzny przeciw bolszewizmowi.

Marszałek Rzeszy dr. Todt (na lewo) wielki budowniczy i organizator państwa niemieckiego zginął w nieszczęśliwym wypadku.

Zrabowany przez Roosevelta francuski statek-olbrzym „Normandie", który został przechrzczony na „Lafayette" i przebudowany na lotniskowiec, został wskutek pożaru w porcie nowojorskim całkowicie zniszczony.

Angielskie samoloty bojowe typu Bristol-Blenheim usiłują nalecieć na tereny Francji północnej, natychmiast jednak ostrzeliwuje je niemiecka obrona lotnicza.

Rys. PK-Möller, Scherl

Fot. Atlantic 11, Scherl 8, Presse Bild Zentrale 1, Weltbild 4

Oficerowie rumuńscy, którzy odznaczyli się podczas odbijania Teodozji, otrzymają za chwilę Żelazny Krzyż niemiecki.

„Choćbym użyć miał przemocy..." Żołnierze niemieccy wykonują robotę, do której nie przywykli, ale w tej chwili bardzo popłatną.

Sfotografowane w locie nurkowym. Jedynie gruzy i zgliszcza pozostawia bolszewizm ścigającym go wojskom niemieckim.

Jedno z czasopism angielskich zamieściło tę ilustrację, na której załoga jakiegoś okrętu sowieckiego wraz z towa-

rzyszką-kapitanem wita lorda angielskiego Rosebery.

Niemiecka łódź podwodna spotyka na Atlantyku frachtowiec nieprzyjacielski i natychmiast poddaje go kontroli.

Największe kopalnie fosfatu na świecie, na wyspie Nauru płoną, trafione strzałami niemieckiego krążownika pomocniczego.

Między okrętami amerykańskimi zniszczonymi w zatoce Pearl Harbour przez samoloty japońskie znajdował się również okręt „Arizona". Oto widzimy go zanurzonego prawie po czubek.

W bitwie morskiej w Kanale w dniu 13 lutego udało się Niemcom przeprowadzić przez cieśninę Dover kilka okrętów między innymi okręty wojenne „Scharnhorst" i „Gneisenau" (górny).

Tak wygląda Rangun, stolica Burmy po nalocie bombowców japońskich.

...po tygodniu walk skapitulowała ta potężna twierdza a żołnierze japońscy obchodzili swoje największe zwycięstwo.

„Illustrated London News" podało plan odparcia japońskich ataków samolotowych na Singapoore. Obrona angielska miała te ataki odeprzeć. Tymczasem...

Oto zwycięzca spod Singapoore i naczelny dowódca zwycięskich wojsk na półwyspie Malajskim, generał-porucznik Tomoyuki Yamaschita.

Nie ma czasu do stracenia! Na stojąco spożywają żołnierze japońscy swoją porcję ryżu.

W Państwie Szan



Na bazarze przed pagodami w dzień świąteczny.

Zepchnięcie łodzi na wodę wymaga dużej zręczności.



Aktualne wydarzenia polityczne a przede wszystkim wydarzenia na froncie Burmy skierowują szerszą uwagę na państwo Shan, leżące w Brytyjskich Indiach Zagangesowych. Według głosów prasy brytyjskiej dałoby się stąd przeprowadzić specjalnie dogodnie ofensywę wojsk aliantów w kierunku Sjamu. Najlepszą drogą dla przeprowadzenia ataku angielsko-chińskiego byłaby droga prowadząca z południa Shanu do Kengtungu w kierunku sjamskiego węzła kolejowego Kiangmai. Ta stacja kolejowa oddalona jest mniej więcej o 110 km od granic Burmy a 660 km od Bangkoku, stolicy Sjamu, licząc według linii kolejowej. Czy te plany angielskie się urzeczywistnią, zależeć będzie przede wszystkim od akcyj Japończyków, którzy potrafili narzucić dotychczas swój system walki na wszystkich frontach. Nasz reporta[ż] daje nam krótki pogląd na kraj i ludzi zamieszkujących państwo Shan w Indiach Zagangesowych.

Państwo Shan a właściwie zlepe[k] plemion Shan (lub Szan) znajduje si[ę] na półwyspie Indochińskim, zwany[m] także Indiami Tylnymi, a granicz[y] z jednej strony, od zachodu z Burmą, z drugiej zaś z samymi Indochinami. Politycznie znajduje się państwo Shan, tak jak i Burma, pod kontrolą Wielkiej Brytanii, jakkolwiek rządzon[e] jest przez własnych władców.

Jest to grupa drobnych państewe[k] górskich (jak to wskazuje już sam[a] nazwa, „shan" znaczy bowiem „góra") pomiędzy rzekami Saluen i Mek[on]giem, zajmująca niewiele, bo tyl[ko] 110.000 km kwadratowych powierzc[hni] i mająca około 1.5 miliona ludno[ści]. Jednakże w historii i polityce Ind[o]chin odegrały te plemiona dość wa[żną]

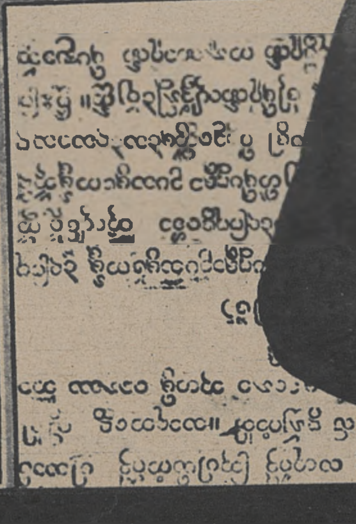


Obywatel państ[wa] Shan ze złocony[m] posążkiem Budd[y]





Dentysta z Kengtungu postarał się o to by jego pacjenci mieli zwrócić gdzie oczy podczas „operacji".



Pismo khun drukowane po raz pierwszy w klasztorze buddyjskim w Kengtungu.

Poza Gangesem



Okolica Kengtungu jest bardzo piękna. Wspaniała roślinność podzwrotnikowa, woda i góry, tworzą krajobraz zachęcający.

rolę, gdyż już w wieku VI i VII naszej ery pozakładały one na pograniczu Burmy silne państewka zabezpieczone z jednej strony swym położeniem geograficznym wśród gór dochodzących do 2000 m wysokości, z drugiej zaś dość dostępne, gdyż góry te są to łańcuchy ciągnące się aż na południe do Malakki.

Plemiona Shan należą do tej samej grupy etnicznej i językowej co Syjamanie i ludy Lao zajmujące centralną część Indochin. Tryb życia ich przypomina więc zupełnie życie wieśniaka syjamskiego. Kulturalnie stoją oni nieco niżej od ludów burmańskich, mają jednak swoją własną literaturę, zwłaszcza religijną. Jeżeli już mowa o religii, to należy dodać, że ludy Shan wyznają buddyzm i że rozwinięta wśród nich jest idea zakonna.

Tak jak i Syjamanie mieszkają ludy Szan w bambusowych chatach, wzniesionych zwykle na palach, odżywiają się głównie ryżem i jarzynami a najważniejszym zwierzęciem domowym jest w ich gospodarstwie bawół południowo-azjatycki, który służy im jako zwierzę pociągowe, a poza tym dostarcza mleka i sierści do tkania.

Jak wszędzie tak i tutaj dotarła już jednak kultura a może lepiej powiedzieć cywilizacja europejska, jak się o tym przekonać możemy choćby ze zdjęcia przedstawiającego nam atelier dentystyczne w Kengtungu, głównym mieście Shan. Dentysta, chcąc odwrócić uwagę swego pacjenta, porozwieszał na ścianie obrazki, by pacjent miał sposobność zapomnieć o bólu.

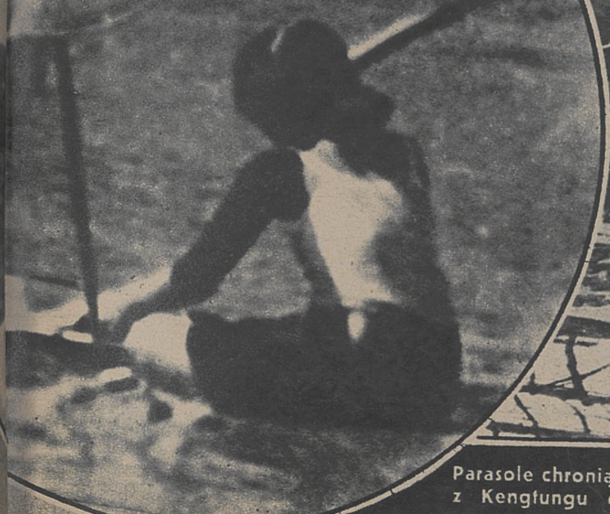


Sprzedawczyni papierosów świeci sama najlepszym przykładem.

Policjant państwa Shan uzbrojony jest w karabin i... parasol.

Fot. Atlantic





Parasole chronią te praczki z Kengtungu od słońca.



Pochód pogrzebowy na pogrzebie mnicha buddyjskiego.



Na „poa” (święto) w Janghwe nieodzowny jest dobosz bębniący na „oghi”.



Kobiety szczepu Ika przyszły w swoich pięknych strojach na targ do Kengtungu.



ZAWÓD O WIELKIEJ PRZYSZŁOŚCI

Bardzo często mówi się o tym, a jeszcze częściej słyszy, że żyjemy w stuleciu techniki, w stuleciu daleko sięgającej motoryzacji i mechanizacji. Żyjemy dziś znacznie szybciej niż niegdyś, potrzeby nasze wzrosły a wytwórczość fabryczna uzyskała nieznane dotychczas rozmiary. Z tego wynikło w ostatnich latach przestawienie w życiu produkcji, wynaleziono dużą ilość nowych i skomplikowanych maszyn, wielkie zadania stoją jeszcze przed nami. Te fakty spowodowały też zasadniczą zmianę na rynku pracy. Pobieżne tylko przerzucenie gazet poucza nas, że coraz bardziej wzrasta zapotrzebowanie i coraz więcej poszukiwani są fachowcy i specjaliści z branży fabrycznej i rzemieślniczej.

Właśnie dziś, wśród wojny, zarysowują się już przyszłe zadania nowej Europy, która obejmie w przyszłości naczelne stanowisko w dziedzinie przemysłu i handlu. W wielu wypadkach może być jedynie zaznaczony ten przyszły rozwój, pełne przeprowadzenie wszystkich planów zachowuje się na lata powojenne.

Obszar Europy środkowej stanowi teren przemysłowy o znaczeniu pierwszorzędnym a także Generalne Gubernatorstwo będzie miało w przyszłych latach możność wspaniałego rozwoju pod względem przemysłowym. Na skutek tych rozważań wydaje się nam już dziś rzeczą wskazaną zainteresować się tymi problemami przyszłości i skierować uwagę ludności na zawody, przed którymi otwierają się w przyszłości najlepsze widoki. Uwzględniając ów przyszły rozwój zorganizowało wiele wielkich zakładów przemysłowych Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa zakłady przeszkoleniowe, by wszystkim interesującym się



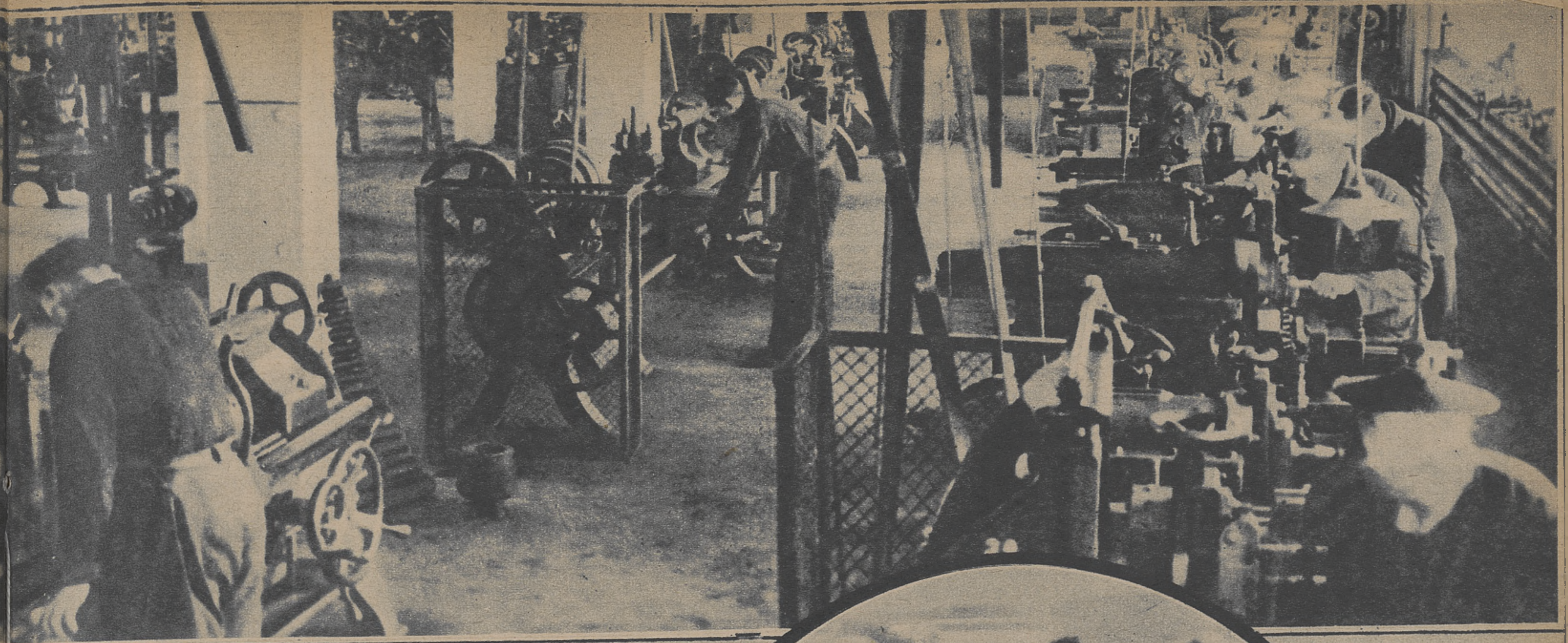
W nowocześnie urządzonych warsztatach Generalnego Gubernatorstwa odbywa się przeszkolenie rzemieślników przemysłu metalowego na doskonałych fachowców i przodowników w tym fachu. Zapotrzebowanie na takich właśnie fachowców jest dzisiaj wielkie. Warsztaty przeszkoleniowe, których celowe wyposażenie ilustrują nam nasze zdjęcia 1—5 otwarte są dla wszystkich, którzy mają zamiłowanie do specjalizacji w zawodzie technicznym.



Nowoczesne urządzenia hygieniczne (7) wolnie prowadzona wspólna kuchnia (
zdrowiu wychowanków.

Fot. I. K. P.

Spec

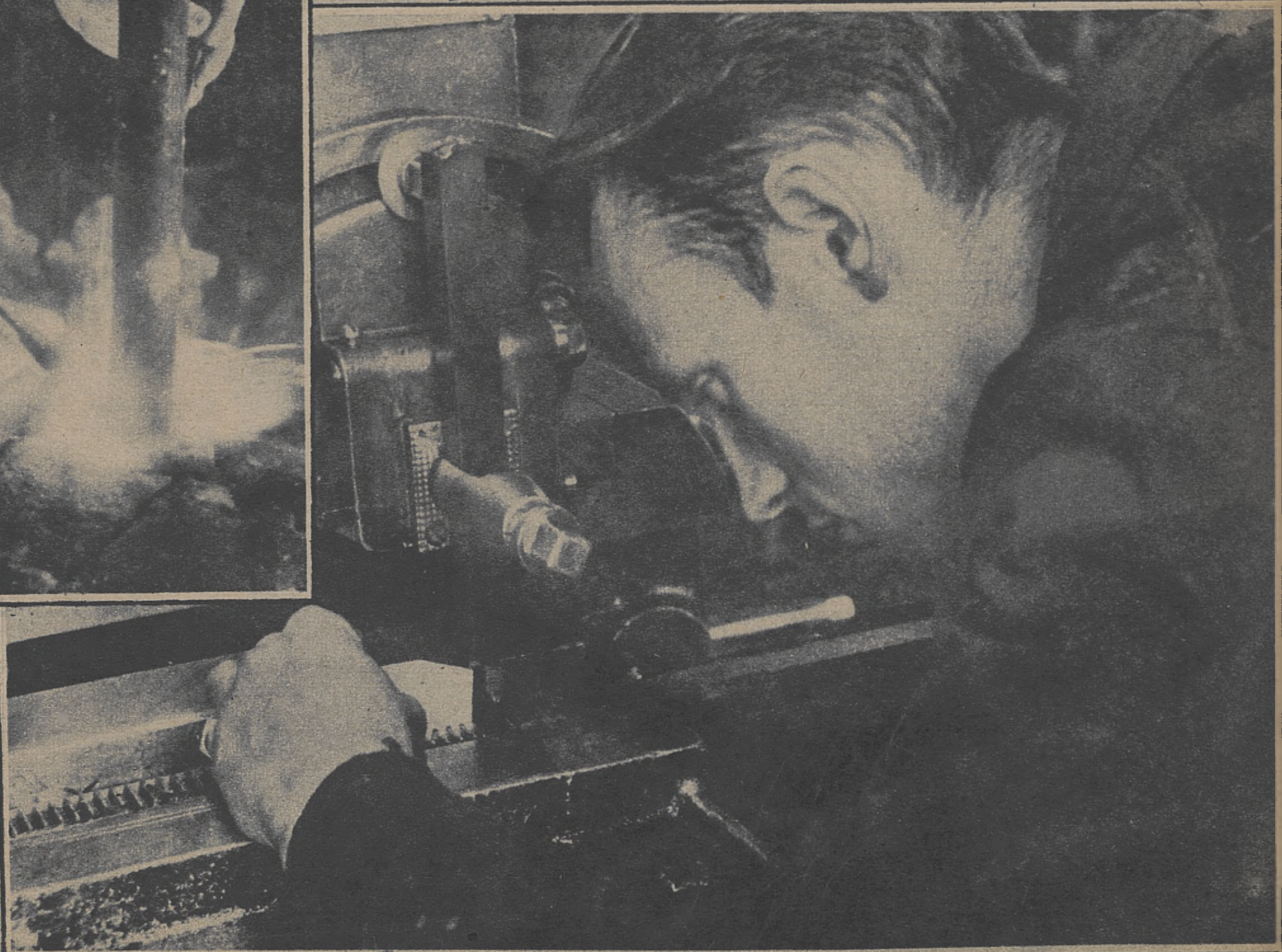


zawodami technicznymi dać możność zdobycia sobie tych wiadomości, które będą w stanie zapewnić im pewny i wystarczający dochód. Kursy prowadzone w tych zakładach przemysłowych umożliwią również siłom niekwalifikowanym zdobycie sobie w jak najkrótszym czasie obszernych wiadomości, i możność ubiegania się w wielkich przedsiębiorstwach o stanowiska robotników fachowych i specjalistów. Jakkolwiek największe widoki zatrudnienia otwierają się obecnie w wielkim przemyśle w Rzeszy, to jednak i w Generalnym Gubernatorstwie otworzy się po wojnie na skutek ogromnej rozbudowy przemysłu wielkie pole działania dla tych wykwalifikowanych robotników, którzy pracując praktycznie nabyły jeszcze wprawy w różnych dziedzinach pracy. Wiadomości nabyte podczas tego przeszkolenia a następnie w praktyce przy warsztacie pracy wystarczą w wielu wypadkach do tego by rzemieślnicy mogli się później usamodzielnić i wyspecjalizować w obranym zawodzie. Jeżeli więc na te kursa przeszkoleniowe zgłasza się coraz więcej uczestników, to jest to dowodem, że szerokie warstwy rzemieślników i pracowników poznały jasno gdzie otwierają się im najlepsze widoki na przyszłość i jakie wynikają z nich możliwości na czas późniejszy. Dobry fachowiec-rzemieślnik, specjalista w swojej dziedzinie, ma tych możliwości więcej, niż skromny urzędnik, na jakich się wielu ludzi kształciło.









Zdjęcia nasze robione były w warsztatach przeszkoleniowych w Krakowie i Częstochowie.

orzy pracy



MAJTEK FRANCUSKI JEAN PERRET OPOWIADA O SWOICH WYPRAWACH NA KONWOJACH BRYTYJSKICH

 7 ciąg dalszy Tłomaczył Maurycy Günther

Być może, po raz pierwszy w życiu został zaangażowany przez jakieś angielskie Towarzystwo okrętowe, a przedtem płynął na jakimś okręcie gdzieś w Indiach albo Malajach. Yes, sir, w tych czasach łatwo jest o awans, jeżeli się tylko zabrać porządnie do tego.

Wieczorem zorganizował kapitan ćwiczenia w strzelaniu. To znaczy, strzelał on, a myśmy mogli się przypatrywać. Te ćwiczenia to było też jakieś obliczenie. Nie można było przecież wiedzieć... bunt i tym podobne... Być może, nie czuł się też zbyt dobrze wśród tej zbieraniny ras. Mieliśmy więc od samego początku już wiedzieć, że potrafi on strzelać. Umiał, to trzeba mu przyznać. Z odległości dziesięciu kroków potrafił przestrzelić asa w kartach. Ja i moi dawni towarzysze przyglądaliśmy się temu w milczeniu, z rękami w kieszeniach, podczas gdy ta nędzna zbieranina stała po drugiej stronie i biła brawa, tak jak gdyby kapitan został królem kurkowym Jego Królewskiej Mości. Był to pan bardzo wojowniczo nastrojony i Old England bardzo oddany, liczył też bardzo na to, że przy wmaszerowaniu Brytyjczyków do Berlina on również będzie brał w tym udział.

Im bardziej zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie zebrać się miał konwój, tym lepszy był nastrój naszego kapitana. Cały dzień śpiewał i gwizdał piosenkę o pięknym Charley:

„Oh, Mary, come down with your roses..."

I spożywał olbrzymie ilości alkoholu. Yes, sir, w tym był również mistrzem. Dla załogi zaś wydany był zakaz używania alkoholu, co marynarze przyjęli z minami słodko-kwaśnymi. Jednej nocy oderwali zamek pokoju, o którym przypuszczali, że tam właśnie znajdują się zapasy kapitana. Ten pijany kompletnie leżał właśnie w koji i spał snem sprawiedliwego. Załoga zabrała się do koniaku i rumu, a to co jeszcze po pijatyce pozostało, wrzucił murzyn do morza. Jutro — tak on sobie kombinował — będzie nas znowu obowiązywał zakaz używania alkoholu, niechże więc i kapitan nie ma co pić. Dla niego, Jimmego, nic to nie znaczy, bo on był przecież do denaturki przyzwyczajony.

Nie wiem, co by się było stało dnia następnego, gdyby przypadek sam nie starał się o odwrócenie uwagi w inną stronę. Yes, sir, była to odmiana bardzo niebezpieczna, bo zaledwieśmy zebrali konwój, gdy też rozległ się już pierwszy alarm: bombowce niemieckie. Kapitan biegał jak w gorączce. Nie myślał już o żadnym koniaku i rumie, lecz o orderze, który miał zamiar sobie wysłużyć. Sam nastawił karabin maszynowy i taśma z nabojami zaczęła warczeć. Niemcy rozpoczęli bowiem atak nurkowy. Kto wie? Może uda mu się zmusić do lądowania jeden z samolotów? Goddam! alеż się kapitan trząsł z podniecenia. A załoga? Stopniowo zmiarkowała ona, że jest wojna i że Germanie rzucali bombami.

Prosto na okręt patrolowy. Co prawda nie zniszczyła ta bomba zupełnie okrętu, ale trafiła tak dobrze i dokładnie, że płomienie biły w niebo zupełnie jak pochodnia. Pięciu ludzi zabiło od razu, między nimi także Sheppa. Krzyczał on jeszcze przez chwilę, jakby go kapitan bił. Widzę jeszcze zdrętwiałą z przerażenia twarz murzyna, kiedy zobaczył przed sobą martwego Sheppa. A potem on sam zaczął ryczeć jak byk raniony. Nie dlatego jednak, że bomba ugodziła w Sheppa, ale dlatego że dokoła wrzało jak w piekle. Rzucił się na brzuch i bił dokoła siebie rękami, jak trafiony ptak drapieżny, który jeszcze po raz ostatni uderza skrzydłami.

Kapitan zaprzestał strzelania i nakazał gaszenie pożaru. Bijąc murzyna pejczem zmusił go do powstania na nogi. Potrzebował teraz przecież każdego pojedynczego człowieka. Nawet kucharza. Wszyscy musieli mu teraz pomagać. W okręcie wyrwało porządną dziurę. Nie brakowało wiele do tego byśmy się przejechali na dno. Całe szczęście ze opału nam nie ruszyło i że maszyny mogły pracować pełną parą. Inaczej — bądź zdrów!

Staliśmy na razie cicho. „Goddam" — klął kapitan i spojrzał na mapę. „500 mil od Irlandii bombowce niemieckie?" Potrząsał głową, jakby nie mógł tego zrozumieć. Przez lornetkę rozglądnął się za innymi okrętami z konwoju. Na prawo palił się okręt 3000 tonowy. Miał on ładunek bawełny. Zdaje się, że cały się spalił. Załoga opuściła okręt w łodziach i popłynęła do jednego z kontrtorpedowców. Trzeci okręt, było to ogromne pudło poj. 10.000 ton. Tam ciągle jeszcze gaszono i jeden z kontrtorpedowców posłał im łódź z personelem sanitarnym. Prawdopodobnie zabrał ten nalot wiele ofiar.

My stosunkowo jeszcze dość gładko się wydostaliśmy. Pięciu zabitych i pokład patrolowy mocno uszkodzony. Bomby przedostały się aż do naszych koji. Nie pozostało nam nic. Wszystko co posiadaliśmy spalone i zniszczone! W nocy leżeliśmy na pokładzie i marznęliśmy okropnie. Przeklinaliśmy tego murzyna, za to, że tę wspaniałą wódkę wylał do morza. Teraz tak bardzo by się przydała. Zdaje się że Niemcy nie zamierzali ponowić swego ataku. Wszystko się uspokoiło i następnego dnia mogliśmy naszą podróż kontynuować, o ile się to dało. W każdym razie konwój został rozbity. Płynęliśmy znowu bez konwoju.

Wśród załogi można było zauważyć największą depresję. Zwłaszcza u tych, którzy w konwoju jechali po raz pierwszy. Kiedy tych pięciu zabitych spuściliśmy do morza, panował na okręcie nastrój, jak w domu pogrzebowym. A więc nalot jednak podziałał na ich nerwy. Dopiero teraz też spostrzegliśmy, że brakowało pomiędzy nami „przylądkowca". Czyżby wyskoczył poza burtę, w nadziei, że w ten sposób uniknie nieszczęścia? Nigdy już nie słyszeliśmy o nim więcej. Jedzenia nikt nie tknął. Nikt nie odczuwał głodu. Instynktownie czuli wszyscy, że nieszczęście jeszcze nie minęło i że atak może się w każdej chwili powtórzyć. Ja osobiście czułem się po rozbiciu konwoju jakoś raźniej i swobodniej. Wiedziałem przecież. że wszystkie ataki koncentrują się przede wszystkim na konwoje. Niemcy mieli tu przecież możliwość zniszczenia z liczby dwudziestu lub trzydziestu okrętów co najmniej pięciu lub sześciu. A cóż to jest okręt o poj. 5000 ton na takim Atlantyku? Nie więcej jak ziarno piasku na wybrzeżu.

Murzyn dostał szału minowego. Ryczał przez cały dzień a kiedy popołudniu kapitan odbywał swoje ćwiczenia w strzelaniu, zagrzebywał się w węglach. Teraz można było dopiero widzieć, jakimi płaczkami byli najgorsi łajdacy. Na East River nic sobie nie robili z tego gdy kogo zamordowali, prowadzili życie gangsterów i na ogień karabinowy policji odpowiadali aż do ostatniego naboju. Tu zaś, gdzie wiedzieli, że najwyżej mogą z okrętu skoczyć w morze, załamywali się i beczeli jak małe dzieci. Murzyn nie był jedynym, który ciągle krzyczał: „I go home... I go home...", Yes, sir, on chciał wracać do domu, wolał swoją brudną dzielnicę nad East River, niż dalej prowadzić to życie błazna na okręcie konwojowym.

Całe szczęście, że dnia następnego wpłynęliśmy do Liverpoolu. O szczęściu nie może być właściwie mowy. Ledwieśmy zarzucili kotwicę, rozległ się gwizd syreny i pobiegliśmy do najbliższego schronu. Sterczeliśmy tam całych dziesięć godzin zanim nastąpiło odwołanie. „Goddam" — mruknął kapitan — „zdaje mi się, że nie będzie wesoło" i gryzł fajkę, która mu zgasła. Ochota aby się bawić w króla kurkowego, zdaje się, mu przeszła. Inaczej byłby pozostał przecież na dworze. Przeszedł przecież kurs. Murzyn leżał na podłodze

Rozrywki umysłowe

IMIENINY

Ojciec ma imieniny. Matka mimo ciężkich czasów chce uczcić choć skromnie tę uroczystość, postanawia więc upiec mały torcik na podwieczorek i dać jajka na kolację. Przygotowała sobie dziesięć jajek, z których pięć chciała wziąć do tortu a pięć na kolację. Ugotowała więc pięć jajek i przez pomyłkę pomieszała je razem z surowymi. Przestraszona nie wie jak rozpoznać jajka ugotowane i surowe. „Nie martw się", powiada ojciec, „zaraz ci to zrobię". I rzeczywiście jak się potem matka przekonała, były jajka dobrze rozdzielone. W jaki sposób ojciec to zrobił?

TRZECIE OKO

— Powiedz mi, przyjacielu, — mówi leśniczy, który chciałby widzieć wszystko, co się w lesie dzieje — dlaczego nie mamy jeszcze jednego oka?

— Czy ci dwoje nie wystarcza?

— Nie, bo nie mogę np. widzieć bez obracania się, co się dzieje za mną.

— A czy trzecie oko pomogłoby ci więcej?

— Tak — odpowiada leśniczy — ale musiałoby być odpowiednio umieszczone.

Gdzie powinno być to trzecie oko leśniczego?

*

ROZWIĄZANIE ROZRYWEK Z NR. 7

Szarada: Temperatura,

Tak zawsze bywa

Większa część rozbitej szyby leżała wewnątrz pokoju na parapecie. Gdyby ktoś rzucił kamieniem ze dworu, leżałoby szkło na ulicy.

w schronie i ryczał. Znowu dostał swego ataku. Ależ musiał żałować, on i jego kompani, że pozwolili się nabrać na te odwiedziny w Europie. Lepiej czyścić buty na Broadwayu jak pobierać wysokie płace i zwariować.

Pozostali goście schronu patrzeli obojętnie przed siebie albo spali. Jeden wyciągnął kawał chleba i zaczął gryźć go machinalnie. Na ryczącego murzyna nikt nie zwracał uwagi. Do takich scen zdążyli się tu ludzie już przyzwyczaić. Która godzina mogła też to być? Zegarek swój straciłem na okręcie, podczas pożaru koji. Było koło godziny ósmej wieczorem, kiedyśmy schron opuścili i pobiegli przez ciemne jak noc ulice Liverpoolu.

Poszukaliśmy sobie kwatery, byliśmy bowiem wszyscy śmiertelnie zmęczeni. Dostaliśmy nocleg w hali noclegowej dla marynarzy. Nie przełknąwszy ani kęsa i nie wypiwszy ani łyka, rzuciliśmy się na nasze prymitywne leże i zasnęliśmy. Gdzieś daleko słyszeliśmy huczenie syren, huk rozpryskujących się bomb i strzelaninę artylerii przeciwlotniczej, ale ja się nawet nie ruszyłem. Było mi wszystko jedno. A jak się później dowiedziałem, nie ruszył się też nikt inny. Mogli nas dobrze diabli wziąć. Koniec się pewnie już zbliżał. A w każdym razie musiało tak wyglądać. Albo — czy było może jeszcze gorzej? Zmęczeni obudziliśmy się następnego dnia w południe. Zdaje się że żadnego alarmu wtedy nie było. Musieliśmy wrócić na okręt, aby pomóc przy gaszeniu, inaczej nie wypłaciliby nam gaż. Teraz dopiero zauważyliśmy jak bardzo uszkodzona była jednak nasza „black rose". Czy opłacało się w ogóle dawać ten okręt jeszcze do doków? Zapewne nie, ale później słyszałem, jak jeden z tych panów z Towarzystwa rozmawiał z kapitanem i był zdania, że należałoby na wszelki wypadek jeszcze raz spróbować, gdyż spód okrętu jest niepewny. Naprawa trwałaby jednak bardzo długo. Doki są zawalone robotą, takich spustoszeń dokonali bowiem Germanie w tonażu brytyjskim.

Gdzie znajdowali się szpicle Jego Królewskiej Mości, którzy nas zwykle tak uprzejmie przyjmowali?

Nie było ich. Po raz pierwszy. Mieli prawdopodobnie inne troski jak przyjmowanie kilku zmęczonych marynarzy i staranie się o to, by ci się nie przeszwarcowali. Albo też byli tak pewni swego, że uważali tę kontrolę w portach brytyjskich za zbyteczną. Sytuacja stała się w międzyczasie tak krytyczną, że żadnemu marynarzowi nawet się nie śniło uciekać z Anglii. Gdzie miał uciekać? Czy może na ląd, gdzie by go za kilka dni złapano i przyprowadzono z powrotem na okręt? Pozostać w mieście? W porcie? No, sir, w takim razie lepiej pojechać z powrotem do USA przynajmniej z tą możliwością, że w odpowiedniej chwili oszuka się swych stróżów i umknie.

Ja należałem również do tych którzy tęsknili za powrotem do USA. Jeszcze bardziej niż ostatnim razem. Tym razem śmierć przeszła tuż koło mnie. Za następnym razem z pewnością mnie już dosięgnie. A więc jeszcze raz i to prędko do Stanów. I czego jeszcze dotąd nigdy nie zrobiłem, gdy stałem w Anglii na kotwicy, tym razem jednak oglądnąłem się za innym okrętem. Co za szczęście że to przeklęte pudło, ta cała „black rose" była diabła warta. Miałem przynajmniej tę nadzieję, że dostanę się na inne.

Wieczorem był znowu alarm. Siedziałem w jakiejś knajpie podziemnej i starałem się zapomnieć o tym, że śmierć krążyła wokół mnie. Huk bomb dochodził tu tylko przytłumiony. Knajpa w której siedziałem nie była to żadna knajpa portowa. Gośćmi byli żołnierze i robotnicy, którzy tak samo jak ja szukali tu zapomnienia. Ja odłączyłem się od swej załogi, chciałem bowiem być raz sam. I pozwolono mi po raz pierwszy wyjść samemu. Wiedzieli bowiem, że nie tęsknimy za tym by pozostać w Anglii. A jak gaże się przepije, to marynarze oglądają się za innym okrętem. O tym wiedzieli szpicle Jego Królewskiej Mości.

Tu na dole panował znów taki nastrój, jakby się świat miał zapaść. Od razu poznano po mnie że jestem cudzoziemcem. Frenchman. Klepali mnie wszyscy po łopatkach i mówili, że byłbym osłem, gdybym pozwolił się tu uśmiercić przez Niemców. Lepiej żebym powrócił do Francji, gdzie wojna już się skończyła. To mówili mi ludzie, którzy połowę życia spędzili w lochach piwnicznych. Jeszcze przed pół rokiem byliby wołali: „Frenchman, jesteś bohaterem, jesteś zuchem, trzymaj się, aż ci przeklęci nacjonalsocjaliści zginą". Dzisiaj byłem w ich oczach błaznem, który jeszcze jeździ na okręcie angielskim po Atlantyku. Można było się przecież lepiej urządzić. Kto dobrowolnie rzucał się śmierci na szyję, ten był według ich zdania idiotą.

„Pozostań przecież w Stanach" — mówił jeden z nich, robotnik z fabryki amunicji, — „gdybym ja miał tyle pieniędzy co ci bogacze, nie siedziałbym już dawno tutaj. Możesz ich oglądać jak wyjeżdżają. Co kilka dni startuje okręt z nimi. Wprawdzie nie wiedzą czy zdrowi tam zajadą, ale w każdym razie mają jeszcze tę możliwość. Kto z nas tutaj ma jaką?"

„Bobby" — zawołał jakiś inny głos od następnego stolika — „King jest tu także jeszcze. Musimy tak długo wytrzymać jak on. Dopiero jak on odjedzie będzie już po wszystkim. Ale póki on jeszcze tu jest, mamy zawsze jeszcze nadzieję".

Człowiek siedzący przy moim stoliku wzruszył ramionami. Oglądnął się ostrożnie dokoła, jakby się obawiał, czy nie zobaczy gdzie szpicla, który by mógł go zaaresztować, jako że wyraża się nieprzychylnie o ojczyźnie. Powietrze nie wydawało się mu zupełnie czyste i pewne, gdyż umilkł.

„Kiedy przyjdą Amerykanie?" — zapytał mnie teraz człowiek przy następnym stoliku. Mój sąsiad dał mu zaraz na to odpowiedź: — „Kiedy już będzie po Niemcach". — „Prawda to?" — zapytał jego partner.

Wzruszyłem ramionami i przypomniałem sobie ów plakat, na którym napisane było że mademoiselle Curie będzie mówiła „O kobietach francuskich podczas wojny". Według tej samej recepty będą mówiły w najbliższym czasie ladies angielskie z Ameryki do kobiet angielskich: „Kobiety angielskie w czasie wojny — widziane z Ameryki". Ale nie wypowiedziałem głośno swych myśli. Nie wiedziałem przecież, kto tu się przysłuchiwał naszym rozmowom. Doświadczenie już mnie nauczyło ostrożności.

Za to odezwał się znowu mój sąsiad: — „Jak Niemcy zginą? Tego się nigdy nie doczekamy..."

Słowo to podziałało jak grom. Nagle zapanowała w piwnicy atmosfera zimna, mimo że dotąd panowała beztroska wesołość. Pewnie wszyscy zastanawiali się nad tym, co ten tam powiedział. A jeżeli to prawda? Wszyscy mieli jeszcze iskrę nadziei. Gazety pisały przecież codziennie: „Niedługo nadejdzie obiecana pomoc z USA. A wtedy pokażemy już tym w Niemczech: mianowicie przejdziemy do ataku, pobijemy ich, uwolnimy Francję i Europę..." „Co ty znowu tam gadasz", zawołał jakiś głos z tyłu. Jean Perret oglądnął się. Był on tak pogrążony w swym opowiadaniu, że nie spostrzegł wcale, że bar się napełnił. Yes, sir, cała kupa marynarzy weszła do knajpy. Wszyscy w nowych ubraniach, pierwsza klasa, pierwsza klasa mówię panu, właśnie jak gdyby wyszli przed chwilą z magazynu konfekcyjnego.

— Goddam, Henry, — zawołał Perret — how do you do? Stary wygo morski! Że też ja cię tu spotykam? Skąd wracasz? Pokaż się jak wyglądasz? Chudy ale zdrowy, co?

— Wracam prosto od ryb — odpowiedział ten drugi.— Ja i ci moi koledzy, patrz. Jak to się śpiewa w Niemczech? „Wczoraj jeszcze na dumnych okrętach, a dzisiaj gwizdały torpedy..." no, tak, stary Posejdonie, siadaj do naszego stołu i słuchaj, jeżeli cię to interesuje.

— Storpedowani? co? — szepnął zaciekawiony Perret.

— No, sir, — odpowiedział zapytany, — niezupełnie, ale słuchaj. Zabierz też swojego przyjaciela, on z pewnością też chętnie posłucha; tak w każdym razie myślę. Nie codzień bowiem wraca ktoś z głębiny i opowiada jak tam na dole wygląda.

Perret zwrócił się do mnie: — Chodź pan, niech pan posłucha, co ten old timer ma do powiedzenia. Piłem z nim już przy jednym stoliku w „Esmeraldzie", wtedy kiedyśmy to zeszli z „Jenny".

Henry był też Francuzem. Perret zasypał go pytaniami, nie miał bowiem tyle cierpliwości by zaczekać, aż ten sam wszystko opowie. Wreszcie Henry podniósłszy rękę ruchem obronnym, rzekł: — Powoli, kochanku, po kolei, bo inaczej mnie samemu pomiesza się w głowie. Ale najpierw: kolejkę, myślę bowiem, że zasłużyliśmy na nią po tej swojej wizycie u ryb.

— Co on ciągle o tych głupich rybach gada — mruknął Perret, siadł jednak spokojnie i cierpliwie.

— Zaraz to usłyszysz, kochasiu, przecież każdy musi choć raz zjechać na dół, ty przecież też, co? chyba...

— Najpierw jest twoja kolej, monsieur — odparł Perret wynijająco.

— A więc słuchajcie, — Henry chrząknął i łyknął porządnie z kieliszka, jak gdyby chciał powetować sobie cały ten czas, kiedy musiał pościć. — Ty wiesz przecież jak wyglądało na „Esmeraldzie", prawda? Wy wszyscy też to przecież wiecie... Acha, wyście przecież byli przy tym... Zaczęło się to wszystko jeszcze w drodze, kiedy emigranci stali się... Bombowców wprawdzie nie widzieliśmy żadnych, wolałbym je był jednak bardziej, niż cały dzień złościć się i gniewać na tę zgraję. Dałbym im raz chętnie porządne cięgi. Ale tacy spadają zawsze na cztery łapy. Raz wreszcie mieliśmy tu wyjątkowo jednomyślną załogę. Zdarza się to w dzisiejszych czasach rzadko; co parę dni rozrywa się przecież każdą załogę, zebrawszy ją i tak z wielkim trudem.

Postanowiliśmy więc przeszwarcować się w Nowym Jorku bez względu na wszystko. Sam wiesz najlepiej, że to niełatwo. Już niejednego spotkała za to kulka i niejeden skręcił sobie przy tym kark. Mieliśmy tu jednak prowodyra, jakiegoś Duńczyka. Olbrzym, mówię ci! Ten nam wszystkim poprzewracał w głowach swoimi planami ucieczki.

„Udawajcie gorączkę minową" — radził nam — „a odzyskacie wolność. Najpierw pójdziecie do szpitala, gdzie przez kilka dni będziecie udawać wariatów. Zamkną was co prawda, ale powoli ten szał minie, a was wyprowadzą na świeże powietrze, jako że chorzy tego potrzebują. Potem zażądajcie kul do podpierania się, jeszcze bowiem tak słabi, że nie możecie się utrzymać na nogach o własnych siłach. Oni będą musieli pomyśleć sobie tak: Goddam, ależ ich wzięło, biedaków, potrwa to z pewnością jeszcze kilka tygodni, zanim będą mogli znowu poruszać się swobodnie. To właśnie będzie chwila rozstrzygająca. Ludzie o kulach nie będą przecież mogli uciekać zaraz do Missisipi — tak oni sobie pomyślą, — i rzecz jasna, nie dodadzą wam straży, a jeżeli, to najwyżej jednego strażnika i to takiego, który będzie czytał cały czas jakąś powieść brukową".

Doskonały pomysł, co? Biliśmy brawa. Powiedzieliśmy sobie, że ten człowiek ma rację. Gdybyśmy się jawnie zbuntowali, mogło nas to kosztować kilka latek. Jest jednak różnica pomiędzy tym gdy się mówi, że się nie chce, a tym gdy się okazuje, że nie można więcej. Że jest się po prostu wariatem.

Siedzieliśmy więc w „Esmeraldzie" i rozmyślaliśmy o dobrej radzie danej nam przez Duńczyka, gdy nagle Grek Taxuli padł na ziemię jak rażony piorunem i zaczął się wić, jak gdyby dostał skurczów. Oczywiście zbiegło się zaraz wszystko co tylko tam było, wezwano doktora i obżałowywano biednego chłopa. „Szał minowy" — powiedział jeden z nas. Tak żeby go wszyscy musieli słyszeć.

Także i ten przeklęty szpicel przy naszym stoliku, którego Towarzystwo nasłało nam znowu na kark, aby wybadał, jak my się zachowujemy. Duńczyk siedział właśnie naprzeciw niego. Kiedy Grek rzucił się na ziemię, szpicel roześmiał się całą gębą i rzekł szyderczo: „Malade imaginaire" („Chory z urojenia").

Duńczyk podniósł się jak morze, gdy jest wiatr o sile 11. Nie potrafił już nad sobą zapanować. Wiedział co prawda, że było jeszcze trochę zawcześnie, ale Grek udawał tak doskonale, że sprawa powinna się była udać. Należało się więc teraz tak zachowywać, żeby jej nie popsuć. Ale w Duńczyku wszystko się gotowało, musiał się bezwzględnie wyładować. Więc też zanim szpicel miał czas schować się pod stół lub zawołać o pomoc, zwalił się już też na ziemię jak worek. Tak dobrze wymierzył Duńczyk...

W jednej chwili znikło całe zainteresowanie się osobą Greka i jego szałem minowym, wszyscy natomiast zainteresowali się nagle Duńczykiem i owym szpiclem. Czułem, że coś się stanie, wstałem więc i popatrzyłem po wszystkich moich kolegach. Wszyscy byli obecni, nawet Grek był już zdrowy.

Tylko ta przeklęta lampa. Goddam, paliła się ona zbyt jasno. W lokalu było cicho jak w grobie. W „Esmeraldzie". No, teraz przeżyje on coś, o czym jutro reporterzy będą mogli smarować. Spojrzałem w kierunku drzwi. Były już zamknięte, zatarasowane i dobrze strzeżone. Postawiono przed nimi zaraz dwóch policjantów; także tylne wyjście było zamknięte. Byliśmy w pułapce.

Nagle zabrzęczało coś od bufetu, z tej strony, gdzie stały rzędem niebieskie, zielone, białe, żółte, czerwone i pomarańczowe likiery, z których mieszano nam nasze cocktaile, od których przez osiem dni następnych chodził człowiek jeszcze tak pijany, tak że nie był zdolny myśleć. Stamtąd więc zabrzęczało. I zaraz potem zgasło światło, a równocześnie rozległ się gdzieś brzęk rozbijanego szkła. Prawdopodobnie od lampy i tej flaszki, którą ktoś w nią rzucił. Jedynie z zewnątrz, z Broadwayu, dochodziło słabe światło. Ale i tak trzeba się było najpierw do tego zmroku przyzwyczajać.

W tym półmroku przesuwał się w tej chwili jakiś człowiek: Duńczyk. Niósł on przed sobą żelazny stół, który ważył około 100 kg, zasłaniając się nim jak tarczą. My za nim. Czternastu silnych chłopa. Potem zatrzeszczało, coś zaczęło lecieć jakby dom zapadał się w gruzy. A na dworze, na Broadwayu powstała na chwilę mała panika. Nie zdarzało się bowiem codzień, by marynarz niosąc przed sobą stół żelazny wychodził przez okno wystawowe, dlatego że drzwi zastał zamknięte. Akurat sześciu ludziom udało się wyjść za nim. Potem się skończyło, bo wtargnęła policja. Ta nie była ani chora na szał minowy, ani też nie miała zamiaru pozwalać płatać sobie figle na środku Broadwayu.

Kiedyśmy zmiarkowali, że powietrze staje się duszne, zawróciliśmy, zasiedliśmy z powrotem przy stolikach i piliśmy naszą wódkę, tak jakby to wszystko nic nas nie obchodziło. Dwóch z nas zaaresztowano. Ci musieli więc wypić piwo, którego nawarzył Duńczyk i jego kompani, włączywszy w to również i moją mało znaczącą osobę. Ale inicjator tego przedsięwzięcia ulotnił się i tak wraz z sześciu ludźmi. Wykorzystał jedyną nadarzającą się okazję. — Henri zrobił tu krótką przerwę i pociągnął znowu z kieliszka.

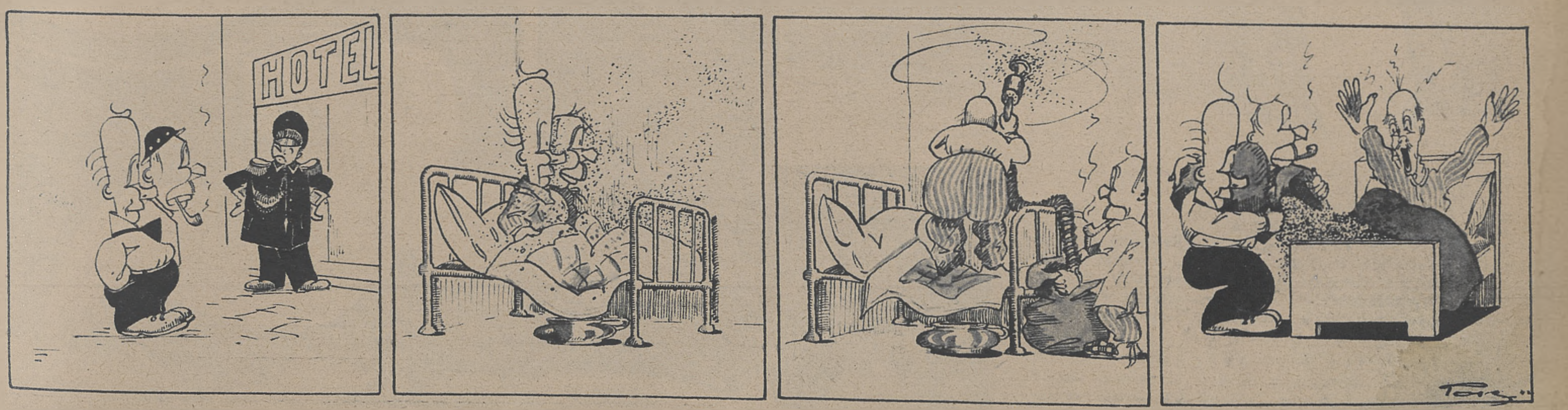
— Tak, — rzekł — to była pierwsza część. Teraz druga. Jean, ty wiesz przecież co to znaczy dla kapitana stracić jednego dnia ośmiu ludzi z załogi.

Jean Perret skinął głową: — Oui, monsieur, znam to.

Dalszy ciąg nastąpi

NOC W HOTELU

Rys. i tekst: Pawl.

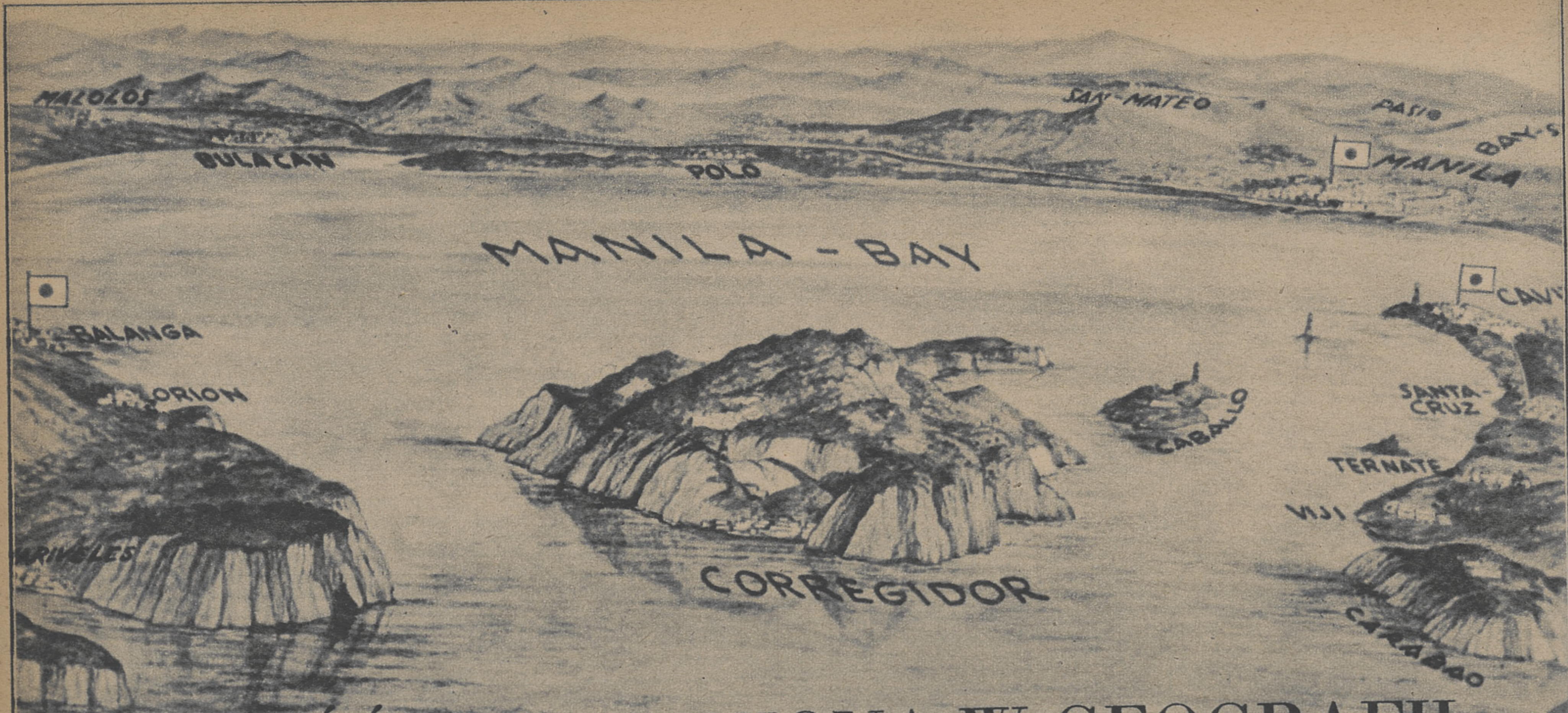


Knotek, Motek (jak też wielu)
Raz do domu zły kurs wzięli:
Muszą przespać się w hotelu,
Wspólny pokój wynajęli.

Leżą w łóżku, — naraz czują,
Że nie mogą tego znieść,
Po nich pluskwy maszerują,
Pragną obu żywcem zjeść.

„Więc porządek tu zrobimy"
Rzekli obaj bez wahania,
„Pokój z pluskiew oczyścimy"
I już je odkurzacz wchłania.

Niosą worek pluskiew duży,
Gdzie dyrektor w łóżku spał,
Pewnie oka już nie zmruży,
Będzie noc przyjemną miał.



MIŁOŚĆ UWIECZNIONA W GEOGRAFII

Legenda o powstaniu wyspy Corregidor

OSTATNIE SCHRONIENIE AMERYKAN NA FILIPINACH
Nasza mapa pozwala nam w sposób plastyczny spojrzeć z wyspy Corregidor, na wielką wyspę Filipin, Luzon. Wyspa Luzon jest od strony lądu całkowicie otoczona przez Japończyków.

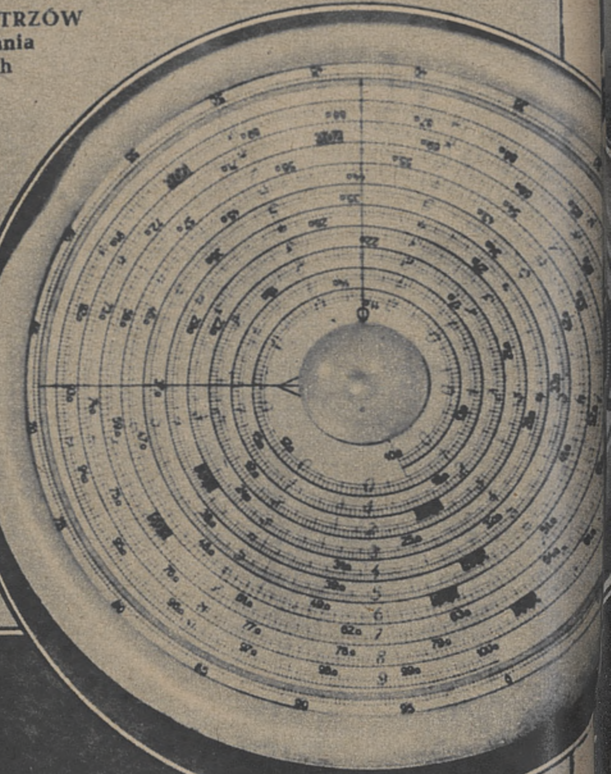
Wyspa Corregidor (po hiszpańsku „sędzia"), leżąca w szerokim tylko na
20 kilometrów wejściu do zatoki Manila, nazywana jest dla swego obron-
nego ukształtowania pionowego także „Gibraltarem Pacyfiku". W tej
właśnie chwili toczą się o tę wyspę zacięte walki pomiędzy wojskami
amerykańskimi a japońskimi. Z dwoma mniejszymi sąsiednimi wyspami
Caballo („koń") i Carabao („bawół") tworzy Corregidor resztki podmor-
skiego stożka wulkanicznego. Na południe od tych wysp, tuż prawie przy
lądzie stałym znajduje się jeszcze wyspa El Fraile („mnich"). Zaś na pół-
nocnym cyplu wznosi się góra Marivales wysoka na 1420 metrów.

Dokoła tych nazw snują mieszkańcy Filipin następującą legendę. W miejscu, na
którym szaleją dziś fale morskie znajdował się przed laty pas lądu pokryty miejscami
słonymi grzęzawiskami. Na północnym krańcu wyspy znajdowały się dwa klasztory,
męski i żeński. Mimo surowych reguł zakonnych zakochał się jeden z mnichów w pięknej
zakonnicy Marivales, ona też odwzajemniła jego miłość, wobec czego zakochani posta-
nowili razem uciec. Postarali się o konia, opuścili swe klasztory o oznaczonej godzinie
i przekradali się właśnie przez moczary, gdy zauważono ich ucieczkę. Gdy pościg był
już niedaleko, utonął im koń w grzęzawisku. Uciekinierzy zawierzyli wtedy swój los
bawołowi, najbardziej godnemu zaufania zwierzęciu na Filipinach. Bawół jednak nie
mógł biec zbyt szybko, dlatego też, gdy prześladowcy już ich nieomal doganiali, kochan-
kowie zostawili zwierzę i udali się w dalszą drogę pieszo. Wkrótce
jednak dogoniono ich i przyprowadzono przed sędziego, corregidora.

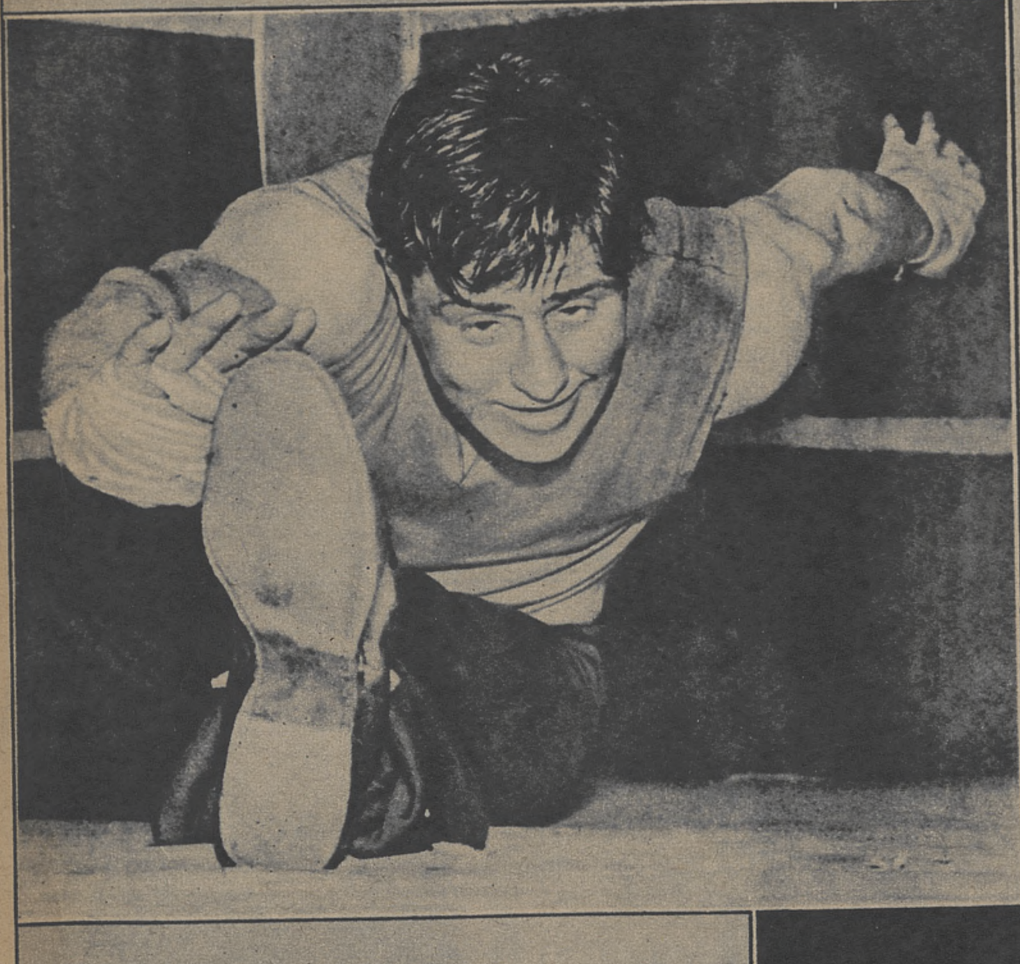
Wyrok był bardzo surowy. Mnich i zakonnica mieli być do końca
życia rozdzieleni i osadzeni w więzieniu. On na południowej stronie
moczar, ona na północnej.

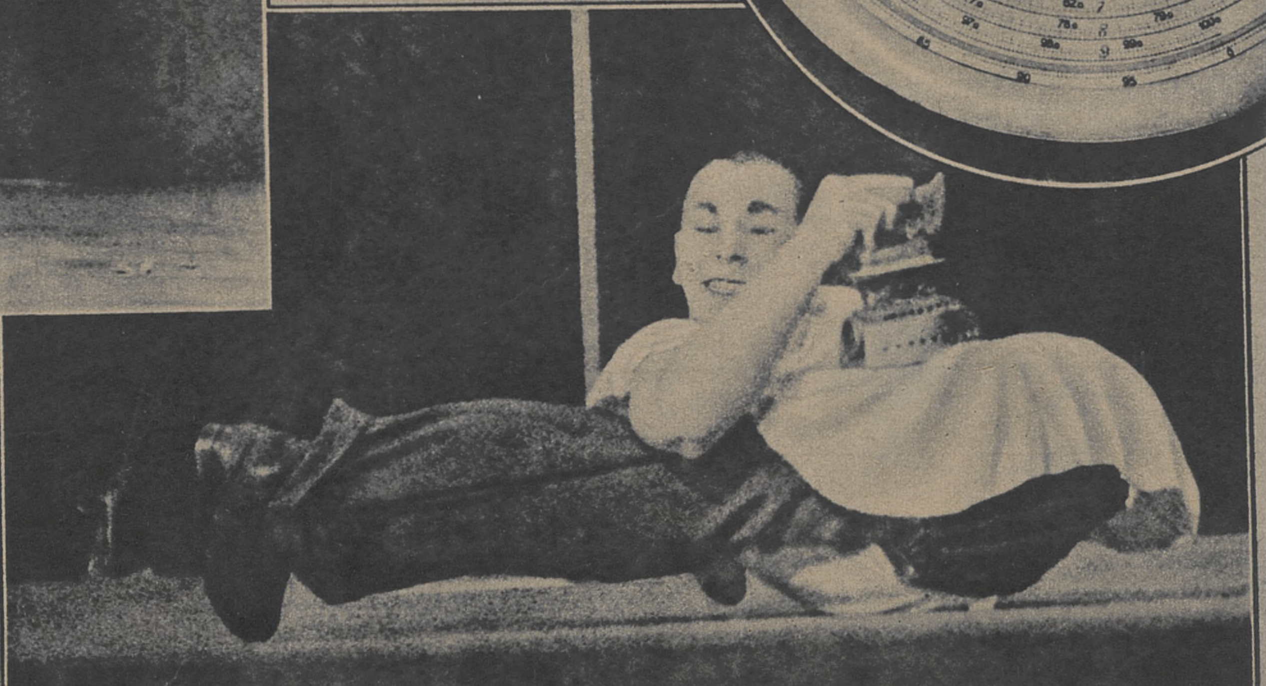
Z nieba jednak przysłuchiwało się temu wyrokowi litościwe bóstwo,
opiekujące się wszystkimi zakochanymi. Bardzo mu się nie podobał
wyrok sędziego. „Pokażę temu zarozumiałemu sędziemu, że nie ma
prawa wyznaczać tak surowej kary wiernie kochającym się ludziom.
Złamali wprawdzie swe klasztorne śluby i za ten grzech muszą pokutować, ukarzę ich,
ale kara, która ich spotka będzie po wieczne czasy świadczyć o ich wielkiej wierności".

I tak się stało. Na skinienie bóstwa piękna Marivales zamieniła się w głaz zdobiący
po dziś dzień wierzchołek góry. Mnicha umieszczono po drugiej stronie moczar tak, by
zawsze mógł spoglądać na swą ukochaną. Jego kaptur skamieniał. I od tego czasu znaj-
duje się w tym miejscu wyspa El Fraile, Mnich. Okrutnego sędziego zamieniło bóstwo
również w skałę. Na wieczną pamiątkę wydania niesprawiedliwego i okrutnego wyroku
znajduje się on między kochankami i stoi po dziś dzień jako wyspa Corregidor, sędzia.
Skamieniałe i zamienione w wyspy Caballo i Carabao, koń i bawół stanowią dopełnie-
nie pomnika wzniesionego przez bóstwo ku uczczeniu wiernej miłości.



POMOC DLA POWOLNYCH RACHMISTRZÓW
Wielocyfrowe dzielenia bez rachowania
Pewien chemik z zakładów azotowych w protektoracie wynalazł nowy suwak rachunkowy odznaczający się nadzwyczajną dogodnością i dokładnością. Wynaleziony przyrząd ma kształt płytki wielkości dłoni, a wagę 75 gr, umożliwia on wykonywanie wszelkich mnożeń i dzieleń z taką dokładnością, jak i duże suwaki rachunkowe o wielkości 2 m. Ta spirala logarytmiczna, przy pomocy której można wykonać bez rachowania w przeciągu kilku sekund wielocyfrowe mnożenia i dzielenia, będzie zapewne z entuzjazmem przyjęta przez inżynierów, techników budowlanych i innych ludzi mających do czynienia z pracą techniczną, i potrzebujących małego i wygodnego przyrządu do rachowania.





BOKSER
**Jest nim Szwed, Olle Tandberg, jeden z najlepszych europej-
skich mistrzów ciężkiej wagi, który niedawno rozegrał nieroz-
strzygnięty mecz z Niemcem Arno Kölblinem. Odznacza się
on jak widzimy niezwykłą jak na mistrza ciężkiej wagi ela-
stycznością i ruchliwością, w których to przymiotach prze-
wyższa go jeszcze...**

ARTYSTA PIET BRECHTS
**Ów gibki Holender występujący obecnie w wielkim varieté
w Berlinie pokazuje zdumionym widzom jak można wypra-
sować spodnie bez zdejmowania ich. Jest to rzecz ogromnie
wygodna, którą możemy polecić naszym czytelnikom do na-
śladowania.**

Fot. Atlantic

Ze scen i estrad Warszawy



Teatr „Nowości" demonstruje rewię pod wiele obieującym tytułem: „Ogród rozkoszy". Tytuł jest mylny, ubliczność spodziewa się haremowych przygód a widzi uropejskie numery. Wystawa też ustępuje „Siedmiu udom świata". Tymoteusz Ortym uczy niektórych autoów jak można wcale frywolną treść podać lekko, eleancko i efektownie. „Wilkołak" Angello Cany w przeóbce dyrektora Ortyma jest przemiłą komedią w któej: Helena Krzywicka, Nina Wilińska, Jerzy Pichelski, eon Łuszczewski (doskonały), Maria Wolińska, Rakowki i Kondracki mają wdzięczne pole do popisu. Taniec a następujących wykonawców: Ziutę Buczyńską sturocentową Hiszpankę w Jocie opartej na motywach iszpańskich i opracowanych każdym ruchem i gestem w trio Lilienbach, gdzie akrobatyka utaneczniona zaziwia widzów.

Numery baletowe całego zespołu na czele z Karczmaewiczówną wypadają bardzo efektownie. Mroźny finał „Ogród rozkoszy" poparty efektami świetlnymi wywouje brawa.

Edward Bender śpiewa cudownym głosem „Serenadę" ostiego i „Cygańską gitarę".

*

„Niebieski Motyl" daje: „O szczebel wyżej". Ina Wolka jest duszą i sercem rewii, gra, śpiewa, tańczy.

Są tu dwa bardzo ładne obrazki: „Lekcja tańca" styowa, piękna, kiedy dziadunio uczył wnuczkę „Pas l'Espagne" z Wolską i Koszutskim i „Miasto i wieś", gdzie pięknymi chłopcami wiejskimi są członkowie chóru Radiana. Wioskowi amanci podbijają. serduszko Ince Wolskiej w tym słonecznym obrazku.

Radianięta śpiewają jeszcze Almeri i starego czerwonego kapturka, którego widać pomimo niewinności nieszczęśliwy wilk nie mógł strawić skoro tak długo pokutuje.

Walter rozśmiesza do łez w trzech kartach, a piękna Irma Kozłowska wyciska łezki wzruszenia, samym wykonaniem, bo treści w „Powodzie" dopatrzyć się nie można nawet przez lupę.

Polakówna, Liedtke, Dominiak, Łapiński i Łoskot poprawni... i za mało wyzyskani.

Duet Suth lekki i elegancki demonstruje najzawilsze sztuki akrobatyczne. Celina Kreyczi ślicznie wygląda i śpiewa.

*

Kabaret „Figaro" woła: „Nowe twarze w „Figarze". I prezentuje nam Orkiestrę Osieckiego w Bolerze, Sanda, Jalousie, Parle i Elektrowni.

Z. Krukowski i piękna Sława Bestani śpiewają a właściwie zwyciężają dźwięk instrumentów głosami, Bestani wygląda „Jak cień" a śpiewa jak młoda boginka.

Fot. Zajączkowski



Danuta Dymiszkiewicz jako jedna z gwiazd tanecznych teatru „Figaro".

Tancerka akrobatyczna Malina Michalska również jedna z gwiazd „Figara".

Dymiszkiewicz, Kamińska, Vetterówna tańczą „Tarantellę" Masseneta i Fox-Trotta. Malina Michalska daje Kankana i Fox-trotta. Szkoda że taka dobra tancerka i obdarzona wszelkimi walorami zewnętrznymi kobieta nigdy nie rozstaje się z cyrkową akrobatyką.

Frenkiel ma czkawkę i serdecznie się na nią skarży, ale nie ma zrozumienia w narodzie i... publiczność śmieje się perliście.

Daniłowicz bardzo miły i rasowy aktor.

Jankowski powinien mieć oryginalny repertuar, przecież niczym nie ustępuje innym.

Z. Sykulska i Wesołowski, Halmirska i Chmielewski dobrzy.

Helena Wielgomasowa

UWAGA! FOTOAMATORZY!



„SARNIĄTKO W LESIE WŚRÓD ZIMY"
Zdjęcie to wykonane przez pana A. Tabora z Bochni aparatem Agfa Isolette przesłona 11, czas $^{1}/_{50}$ sek. byłoby jeszcze wdzięczniejsze, gdyby dziewczyna nie patrzyła się do aparatu. — Nie powinno się jednak dotykać młodych sarniątek, gdyż matka nie zechce się zająć nimi potem. Przyglądanie się daje wszystkim również dużo przyjemności.



„W OCZEKIWANIU NA WIOSNĘ"
Oto jedno z najładniejszych zdjęć, które dotąd zostały nadesłane do Redakcji I. K. P. Ogromna prostota kompozycji, temat niesłychanie prosty, wykonanie techniczne doskonałe, cóż tu więcej jeszcze pisać! Najwyżej można zdjęcie to postawić jako przykład dobrej fotografii fotoamatorskiej a p. J. Gruszczyńskiemu z Rykoszyna przyznać, że zabrał się do niej ze smakiem i umiejętnością.

„W ogrodzie zoologicznym"

Rozwiązanie konkursu I.K.P.

— Funiu!
— Wedli czegu!
— Czy ty si kiedy po ludzku zapytasz!
— Jak proszy!
— Masz gu tu! Znowuż wyjeżdża zy swoju durnu jyntyligencju! Ali ja już powi udrazu, jak si sprawy maju. Hulamy du ugrodu zylugicznegu!
— U-ju-juj! A co to takiegu ten zyligiczny ogród!
— Zara widnu, ży ty fryblówki ni skonczył, bu byś taki durny rzeczy ni bałakał. Zylugiczny ogród, tu taki niby las, gdzie si chowa różny zwirzenta. Kapujisz!
— Niby coś, ali co oni tam jedzu!
— I-i-i-i! Ty zara tylku u jadaczcy myślisz w taki cienszki czas! Nie buj si, zwirz musi dostać wszystkiego. Wilk — zy dwa barany — taki jak ty —, niedźwidź — zy sztery koszy śliwyk — jak twój nos —, sarna — trochy żulendzi, grzybów, puziomyk — ot jak baba...
— Stachu, żyby nas lnu jaki dzik ni zeżar!...

* * *

— Ta czekaj, dziesi tak ciśnisz! Niech ci bilit zaplacy... proszy!... ili!... tak, tera jazda naprzód, tylku mi si dzie ni zagub... czekaj, hulaj w te ścizki i pukuleji sy ubyjdziemy te miszkania zwirzency. Masz, tu na tablicy napisany:

„Nr. 1 — Lis"

— Stachu, patrz, jaki un grzyczniutki... jak un si do mni uśmicha, ... a jaki jegu uczenta śliczny...
— Ta cichu, nie rób mi stydu swoju babsku uciechu, inu szpanuj dali:

„Nr. 2 — Pardwa Śniegułka"

— To kura, czy kogut, — jak ty sy miarkujesz, ha!
— Jagyś cikawy, tu zaglondnij pud ogun, bu ja wcali...
— A, tu co znowu!... Oj, joj, ja si takuj boji, chodźmy tendy Stachu...
— Ta puść mi wreszci renkaw, bu i tak si udrywa i lepi sy przyczytaj co tu piszy: „Nr. 3 — Ryś".
— Ta ni dynerwuj si Stachu...
— Zatkaj si i wal dali... masz tu napis: „Nr 4 — Kuna".
— Jak! Kuma! Gdzie!
— Ta jaka znowu kuma ci w głowy udyrzyła! „Ku-na" ...na, ...na, chyba jeszczy naszy lwowski mowy ruzumisz! Czy moży ni!
— Ja ci przypraszam syrdeczni, ali nie rób mi wstydu takiego. Szpanuj tu, jak twoja kuna slucha co ty tu wygadujisz i bedzi si z nas ubśmiwać.
— Nu tu choć dali. O! Masz tu coś dla ciebi: „Nr. 5 — Dziki królik".
— Życzywiści, jaki un spukojny; a, joj... co to... tam, szpanuj, coś skuknelu z drzewa na ziemi. Moży to indyk!...
— Ali ty durny Funiu, aż mi wstyd si z tobu przyd tylu różnymi zwirzyntami pukazywać. Przeci wyraźni piszy na tablicy: „Nr. 6 — Bażant".
— Ja już woli hulać dali, bu ja ni rozumi te pański nazwiska...
— Nu tu masz znany zwierzy, czytaj: „Nr. 7 — Sarna".
— Sanna, jo, to ja słyszał na wsi, kiedy my pu naszy słuniny jichali...
— Ta jaka, znowu sanna. Czy ty nigdy ni widział na Kajzyrwaldzi taki ładny, taki miły zwirzontku, taki łaskawy...
— Teraz ty si zaczynasz czulić nad tu sarenku jakby ona świentu była. Przeci każdy si moży pumylić. A ja już woli taki moji Mańki...
— Szpanuj tu! Masz jej brata, tylku sy nie myś, ży twoji rudy Mańki, inu ty sarny: „Nr. 8 — Jeleń".
— Jak proszy! Jej leń!
— Ty durna pału. Żybyś choć trochu czeguś kunsal z naszyj rudzinnyj przyrody. A ty ani w zomb. Tera mi ni dziwnu, ży ci zera w trzecij klasi wyżali, bu ja z tobu ani 3 gudziny być ni mogy. Inuś mi wstydu narobił, szlachetny naszy przydstawicieli zwirzyncości puubrażał i pużytku z naszy wycieczki nima. Chyba moży twoji ślady puzustanu tu na śniegu, a ludziska bedu si głowić, czy to osła czy cymbała!... Dlategu trzeba nadzirać! Hulaj przodym, aby ci czasym jaka dzika świnia za brata ni wzięła...
— Stachu, a moży by im coś tak zaśpiwać na pużygnani!...
— Pocu! Aby puzdychali z męki! Ta zresztu, drzyj si, jak ci taka chentka przyszła...

„W lwowskim takim lesi
Zwirzyny różnyj moc,
Tam z Osłym chodzi Baran,
Zajonca Rysio nosi,
A piski, krzyki, gwałty
To słychać w każdu noc!
Lis zdobi szyji Sarny,
A Kunę futro z Łosi!..."

„STA-MA"

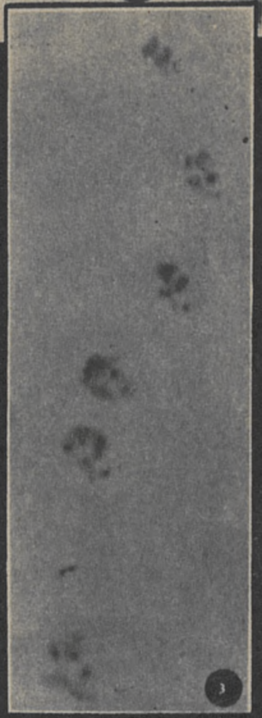










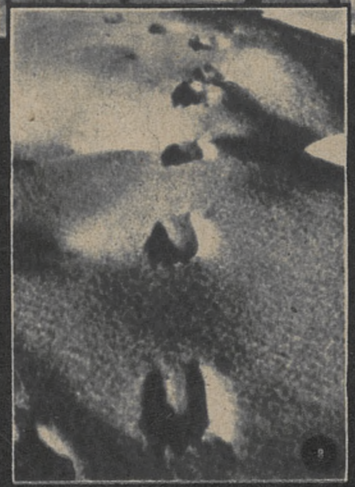








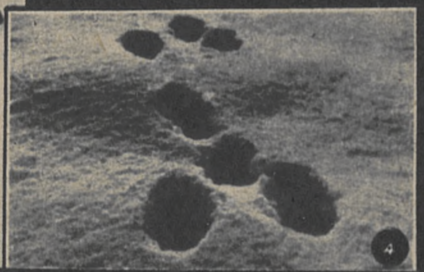


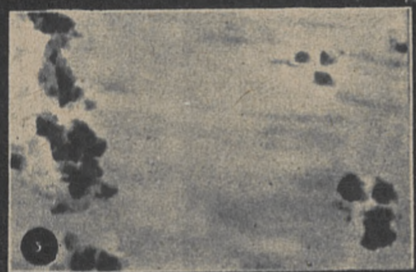



Konkurs I. K. P.

TROPY na ŚNIEGU CZY WŁAŚCIWE?









...ściwe!" Tak brzmi tytuł trzeciego większego konkursu I. K. P. Wyszukaliśmy do niego szereg przedstawicieli fauny Generalnego Gubernatorstwa, aby wraz ze śladami tych zwierząt na śniegu pokazać je naszym czytelnikom. Tymczasem uczeń nasz przekreślił nam cały rachunek. Miał on zdaje się ważne spotkanie w kawiarni Europejskiej i w tym pośpiechu i zakochaniu pozamieniał tropy zwierząt i ponaklejał je niewłaściwie. Nasi czytelnicy mają nam pomóc znaleźć właściwy dla każdego z podanych tu zwierząt ślad w śniegu. Mamy tu następujących przedstawicieli świata zwierzęcego: dzikiego królika, pardwę śniegułkę, lisa, kunę, bażanta, sarnę, jelenia i rysia. Ponieważ każdy poszczególny ślad ma swój numerek, wystarczy gdy czytelnicy biorący udział w konkursie, dołączą przy podawaniu rozwiązania numer śladu do odpowiedniego zwierzątka. Np.: dziki królik = 4, sarna = 1, itd. W wypadku nadesłania kilku dobrych rozwiązań o zdobyciu pierwszej nagrody zadecyduje los. Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 20 marca. Rozwiązanie konkursu ukaże się w pierwszym numerze kwietniowym. Za rozwiązanie konkursu wyznacza się trzy nagrody:

I. nagroda — 150 zł
II. „ — 100 „
III. „ — 50 „

Poza tym wyznaczonych jest jeszcze 5 nagród pocieszenia, każda po 10 zł. Wyrok Jury konkursowego nie może podlegać zastrzeżeniom. Rozwiązanie należy nadsyłać w zamkniętej kopercie z napisem „Konkurs I. K. P."

DO P. „STA-MA" I WSZYSTKICH INNYCH KONKURSISTÓW

Rozwiązanie naszego konkursu ogłoszonego w Nr. 4 I. K. P. nadesłane nam przez Pana ma tak miłą formę, że nie zawahaliśmy się zamieścić je od razu, chcąc przy tej sposobności dać wszystkim, biorącym udział w tym konkursie kilka uwag. Nasamprzód jednak dziękujemy za tak żywe zainteresowanie Pana, którego wyrazem jest zamieszczone właśnie opowiadanie. Od razu musimy jednak zaznaczyć, że rozwiązanie to nie jest dobre. Sądzimy jednakże, że wiadomość ta nie zmartwi Pana zbytnio, zwłaszcza gdy dodamy jeszcze, że większa część rozwiązań, które do Redakcji wpłynęły, a wpłynęło ich dotąd już kilkaset, jest niewłaściwie rozwiązana. Czyli że w dalszym ciągu pozostaje aktualne pytanie, czy tropy zamieszczone razem ze zdjęciami zwierząt są właściwe.

REDAKCJA

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900